

**Monika Maciejczyk****JAN NOE GILGAMESZ****EPOS**

Nazywał się Jan Noe Gilgamesz. Przyszedł z Nizin, nie wiadomo ci skąd. Czysty był, a przez to denerwujący jak mało kto. Nie to zaraz, żeby ci się aż tak ciągiem mył. Ale duszę czystą miał. Na wzgórzu zamieszkał, na Zielonym. Najwyżej jak się tylko dało. Wyżej już było tylko Niebo, wielkie i błękitne, i chyba tak czyste o poranku jak dusza Jana Noego Gilgamesza. Istny to był wariat. A na dodatek wszystkim wkoło powiedział, że kazał mu tu zamieszkać Bóg. No i co było z nim robić? Żył tam sobie powoli. Nawet żonę miał. Dzieci tylko Pan Bóg, z którym to Gilgamesz miał być w takiej konfidencji, poskapił.

Inwentarz za to mieli i owszem. A było tego bez liku. Koń co to już do żadnej roboty się nie nadawał, ale za to podobno gadał z Gilgameszem. Podobno, bo Gilgamesz gadał cały czas, a koń tylko patrzył i patrzył. Krowa była też na utrapienie żony Gilgamesza. A to, że już się nie doiła, bo za stara. No i na cóż komu krowa, która się nie doi, łązi po łąkach, żre trawę, a pożytków nie ma. Mleka ani kropli. Jak to kiedy mleka im się zachciało, zarzucała Gilgameszowa chustę na głowę i szła na dół do miasta, do sklepu spożywczego. A tam to już wybór był. Mleko i w butelkach było i w kartonikach, a nawet w proszku. Kobieta rady sobie dać nie mogła to i na starego swojego w tym sklepie gadała. No bo niby po co komu krowa co mleka nie daje. A Jan Noe Gilgamesz na to, że przecież tak mądrze patrzy. A czasem to nawet zdaje się mądrzej niż człowiek. Owiec mieli też trochę. Za wiele żeby przy nich odpocząć, bo roboty było co niemiara, a za mało, żeby mieć pożytki. Bolała nad tym kobiecina. Bo to ani sera na targ, ani futra na grzbiet, żeby kożuchem nowym się pochwalić, ani wełny na sprzedaż. Wszystko tylko dla siebie mieli. Mleka pożywnego popili, w swetry jak zimno przyszło się poubierali, a i kołdry ciepłe mieli wypchane owczym runem. No i hodowla była. A Jan Noe mawiał, że owieczka to stworzenie Boże. I chyba nie ma takiego drugiego, co by tak bliskie Sercu Pana Boga było. Ty zawsze masz wytłumaczenie, żeby darmo roboty dolożyć - zrzędziła kobieta. Ale myślała przy tym, że koniec końcem inni piją, palą, łajdaczą się, a jej stary nie. No to znaczy, że i tak ma dobrze i nie trzeba gderać. O, chyba że tak czasami, dla fasonu. Psie juchy były tam też cholery, obiboki, aż trzy sztuki. Wilk stary, co mu zęby powylatywały i już nawet do gryzienia się nie nadawał – jakby co nie daj Boże. Drugi kundel rudy, pokraczny, a tak głupi, że swoich od obcych nie odróżniał. I takowoż czekał na jednych, jak i na drugich. A trzeci, ulubiony pies Jana, od życia był poszkodowany, jako że po wypadku go wziął. W deszczowy dzień kiedyś to przyniósł go na rękach. A Gilgameszowa, gdy otworzyła drzwi, to obraz jej ciekawy ukazał Gilgamesza w wielkiej pelerynie. Stał tak niby Liczyrzepa jaki, jak góra wielki, a po nim spływały strumienie wody, mieszając się z kropelkami czerwonymi psiej juchy. Długo leczył Jan Noe swojego psa. W nocy nad nim siedział i dumał. Ale też nic nie wydumał, bo jako pies przy życiu został, tak stracił obie tylne nogi, co to mu auto w dolinie zmiażdżyło. Kierowca nie zatrzymał się nawet i to nie dziw jakiś, myślała Gilgameszowa, boć ciemno było choć oko wykol. A jeszcze do tego ten ulewny deszcz, to i pewnie nic widać nie było, to i winić nie ma kogo. Ot wypadek. Tylko Gilgamesz, co znalazł się zawsze tam gdzie niepotrzeba, psa naszedł i do domu przyniósł. Siedział później zimą przy piecu z tą rozczochraną bestyją i coś tam z drzewa majstrował. A pies tylko patrzył. A wiosną jak zeszyły roztopy, przytwierdził psu rzemykami z tyłu wózeczki mały. Ot taki na kółkach. I smutny chory pies jakby nagle ożył, jakby kto życie nowe mu wrócił. Biegał z tym wózeczkiem, ogonem merdał wesoło, ciekawy świata jak mało kto. Weteryniarz z miasteczka to przyganił starego, że niehumanitarnie. Uśpić się powinno zwierza, bo tylko męczy się na tym świecie. A zresztą komu i na co pies na kółkach. Dobry doktor, co rozsądek zachował, mówił Gilgameszowi: mój Janie, to nie przeszkoda, że pieniędzy nie macie. Dolożę z czystych ludzkich względów. Jeden mały zastrzyk i po kłopotcie. Zwierz się męczy, a i wy razem z nim. A i miejcie litość nad żoną swoją. Ona i tak roboty ma już zbyt wiele. A Jan Noe tylko

popatrzył, uśmiechnął się nieśmiało i rzekł. No, Pan Bóg mu życie dał i tylko Pan Bóg może je wziąć. A poza tym popatrzcie i powiedziawszy, wskazał na psa. A z psa biła taka radość życia, że nie było co gadać.

Było też kocisko w chałupie, ale leniwe do obrzydliwości. Myszy łapać nie chciało. I żadne sposoby uaktywnienia kota nie pomogły. Zawziął się i już. Cały dzień spał, a nocą jak zapolował, to dla parady. A wracając z nocnej szychty ze spichlerza, zawsze przy piecu nachodził miskę pełną mleka i ciepłe futro psa. Wtulał się w nie, zwiżał w kłębek i tak spali razem już oba do rana. Jedno trzeba było mu przyznać – mrucał pieron słodko.

Kura i kogut byli też. Każden jeden po jednej sztuce. A kura to ci dopiero była dama. Jak zniosła jajko, to u Gilgameszów było święto. Czasem jak im się zachciało zjeść jajecznicę z cebulką i szpyrką, to leciała Gilgameszowa do miasta po jaja, a i po szpyrkę też, bo Jan nijak i nigdy żadnego zwierzaka nie zabił, chyba że ze starości sam zdechł. I tak kobieta dziękowała Bogu, że Janowi nie wpadło do głowy świnie mieć, bo z torbami by poszli jak nic.

I tak to im się żyło na Zielonej Górze. A ptaki śpiewały rok cały. Podchodziły z lasu pod chałupę, gniazda wiły i z Gilgameszem gadały diabli wiedzą o czym. Ale z boku tak to wyglądało, jakby gadali naprawdę. Zimą to nawet dziki zwierz pod zagrody podchodził. Spragniony czy to jadła, czy ciepła, czy też dobroci. A i co szukał, to zawsze tu znalazł. Już Gilgamesza w tym była głowa.

I tak żyli sobie oboje pomału. Świt budził, a zmierzch do snu układał. Wiosną, gdy słońko zaświeciło, w pole się szło. Matkę ziemię uprawić. W pokorze, uczciwości i trudzie. Bo jak potu nie było, to i żniwa nijakie. A to na tym świecie wszystko duszę musi mieć, nawet praca, by wydała plon. Zieleniły się pola i łąki, sady białe zakwitły. A gdy kłos dojrzał, żniwa przyszły. Złote ziarno wypełniło spichlerze, a siano pachnące – stodoły. Czerwieniały jabłka w sadzie, złociły się grusze, granatowe śliwy od słodyczy pękały. Brzęczały roje owadów w pracowitości wielkiej. A świerszcze w trawie i po rżyskach grały, ach jak grały, jesień zwiastując. A to ci się psubraty niedługo za komin przeniosą, bo chłody idą - rzekł Gilgamesz. A Gilgameszowa tylko kiwała głową, przytakując, a nie gadając nic, bo roboty miała, a miała, pełne ręce. Konfitury słodkie smażyła, zioła suszyła i grzyby, a wieńce cebuli i czosnku upinała na białym kominie jak włosy na głowie, w girlandy i warkocze. W izbie pachniało, że aż miło. A długie wieczory przy piecu bajaniem wypełniali. Ogień trzaskał wesoło i co i raz w szczelinach drzwiczek się pokazywał. Czasem w milczeniu siedzieli, jakby po trudzie wielkim zadumani nad światem i życiem, i nad losem człowieczym. Wiatry jesienne okiennicami stukały; zmierzch przez okno zaglądał do ciepłej izby. Kot na piecu spał, a psy, to gdzie który dziurę znalazł, aby ciepło i wygodnie.

A to tak utulonych zima zastała. Pierzyną śniegową przykryła, a na szybach kwiaty namalowała precudne, czarodziejskie jakoweś i pałace jak z bajki, takie piękniunie, że i chyba ksiądz proboszcz na plebanii takowych landszaftów nie miał.

Baba w takie wieczory Panu Bogu za chłopą dziękowała, a chłop za babę w skrytości ducha. Tak cicho, żeby ci to zły los nie usłyszał i czegoś to nie zmienił.

Za oknem śnieg padał, wiatr zawodził, a duże białe płatki wirowały, wirowały, aż nadchodził sen.

c.d. n.